

Arianie w Raciborzu

czyli

krótka opowieść o wygnańcach z XVII wieku

Eufrozyna Taszycka zanurzyła pióro w noc inkaustu. Lubiała swój zdobiony srebrem kałamarz, a jeszcze bardziej to, czym był wypełniony. Właściwie trafniejszym określeniem byłoby stwierdzenie, że lubiała to, co atrament niósł ze sobą. Poczucie wolności myśli i zarazem bezpieczeństwa, a więc coś, czego nie był w stanie zapewnić druk. Wiele drukowanych dzieł braci polskich zostało rzuconych w płomienie, bo ujrzały światło dzienne. Ona, jak przystało na dobrą ariańską niewiastę i myślicielkę, uczennicę samej Agnieszki z Socynów Wiszowatej, zostawi swoją myśl dla siebie. Nikt nie spali jej dzieła.

Przerwała pisanie. Podniosła się z krzesła i otworzyła drewniane tarcze okiennic. Wyjrzała na Racibórz. Przywykła już do tego miasta. Mieszkała w nim od czterech lat. Obraz rodzinnych Taszyków już powoli zacierał się w jej pamięci. Sejm nakazujący arianom opuszczenie Rzeczypospolitej pozbawił ją rodowego gniazda. Później, obawiając się niewieściej erudycji, rozciągnięto banicję i na kobiety. Alternatywą było przejście na katolicyzm, ale ona nie chciała im dać tej satysfakcji. Choć w mniemaniu panów braci była tylko niewiastą, to i tak należała do stanu szlacheckiego, więc pozbawienie jej prawa do swobody sumienia zganiłby każdy sprawiedliwy mąż. Szczęśliwie, że Ludwika Maria i Jan Kazimierz pozwalali arianom osiedlać się w należących do Wazów księstwach Opolskim i Raciborskim.

Było widać, że marzec ma się ku końcowi. Nieśmiałe, pojedyncze promienie słońca przecierały szlaki w ruchomych piaskach chmur. Oczywiście chłód był nadal. Eufrozyna otworzyła kufer i wyciągnęła zeń szal ze srebrnego lisa i rysią czapę. Oba elementy garderoby oburzyły się wprost niesłychanie. Nawet nie na swoją panią. Nie znosiły się wzajemnie w swej rywalizacji o prym zdobienia. Czapka wyszczerzyła groźnie zęby, na co szal głośno prychnął. Taszycka oparła się łokciami o parapet, a zimowe ubranie dalej trwało w swym immanentnym pojedynku. Niezrażona ich sporem Eufrozyna oglądała miasto. Gdy zmrużyła oczy, mogła dojrzeć więzienną basztę. Trudno było uwierzyć, że niebawem będzie miała sto lat. Niewiarygodne, że pomimo wyniszczającej wojny trzydziestoletniej i masy imigrantów z Rzeczypospolitej, którzy napływali tu w czasie walk z Chmielnickim, Moskwą i Szwedami, Racibórz jak na tak niesprzyjające warunki trzymał się dość dobrze. Niebawem miały się tu rozpocząć rządy księcia d'Enghien. Gdy zostanie już księciem opolsko-raciborskim, będzie panował w Rzeczypospolitej jako król Henryk II. Dobrze. Wszak to od jego imiennika wzięły

się Artykuły Henrykowskie. Oby tylko nie uciekł. Czy mógłby uciec? Nie, po co miałby uciekać? Na tron francuski nie ma co liczyć. Poza tym jako wilkołak musi się czuć nad Sekwaną niezmiernie samotny. A gdzież indziej znajdzie tylu pobratymców co na Śląsku i w Rzeczypospolitej? I nie tylko wilczych ludzi. Wszak Jan Kazimierz i Ludwika Maria na Litwie znaleźli niedźwiedziego chłopca. Musiało być ich tam więcej. Ciekawość, czy przyszły król odnalazłby przyjaciela w Bazylim Duninie Borkowskim? Wszak on znany czarnoksiężnik, a pono i upiór. Kozacy, choć się go słuchają, w skrytości ducha drżą przed nim ze strachu. Wspaniałym kompaniem byłby dla księcia Henryka.

Z zadumy wyrwał ją niosący się po mieście, podobny do grzmotu, odgłos bębna. Doskonale wiedziała, co to znaczy. Werbunek. W ten sposób zaciągano siły autoramentu cudzoziemskiego, czyli piechotę i rajtarię. Wtedy poczuła na głowie i szyi pewien niepokój. Rysia czapa trzęsa się, jakby dopadły ją konwulsje, a lis srebrny owinął się jeszcze silniej wokół szyi swojej pani i potulił uszy pod gęstą kitą. Eufrozyna ze zrezygnowaniem zamknęła okiennice. W czasie burzy dokładnie to samo. Jako że za chwilę miało jej się zrobić gorąco, postanowiła się rozebrać. Rysia czapa z przeraźliwym piskiem wylądowała na ułożonych w kufrze sukniach. Z kołnierzem była trudniejsza sprawa, albowiem lis nie miał najmniejszej ochoty w taki hałas odrywać się od szyi właścicielki. Pozwoliła mu więc zostać. Zamknęła kufer, spod którego wieka rozległo się przeciągłe prychnięcie zazdrości.

Eufrozyna usiadła z powrotem do pisanego traktatu, ale gdy tylko sięgnęła po pióro, usłyszała skrobanie paznokci o drewno. Odwróciła głowę. Odgłos powtórzył się. Dochodził od strony drzwi. Westchnęła ciężko, niezadowolona, że ktoś nie pozwala jej pracować i skierowała się ku wejściu, ale już po trzech krokach wyczuła protesty kołnierza. Ten zapierającymi ruchami i cichym popiskiwaniem odwodził ją od sprawdzenia, kto stoi za drzwiami. Pani zaczęła powoli tracić cierpliwość. Przymknęła oczy i policzyła do pięciu.

– Idę – zawyrokowała na głos.

Gdy jej ręka spoczęła na klamce, lis zeskoczył z jej szyi, czym prędkiej podpełzł do kufra i wsunął się w szparę pod niedomkniętym wiekiem. Rysia czapa już nań czekała, by się zemścić.

Ten, któremu Eufrozyna otworzyła drzwi, był odziany prawie że całkiem po niemiecku, jedyną oznaką polskiego pochodzenia było to, że przy boku zamiast długiego, cienkiego rapiera, który Polacy nazywali „rożnem”, miał polską szablę z „paluchem” dla ochrony kciuka, toteż w pierwszej chwili w ogóle go nie poznała.

– Witaj siostrzyczko – uśmiechnął się przybysz.

– Eliasz? – zdumiała się Eufrozyna i rzuciła się bratu na szyję. – W tym stroju mogłabym cię minąć na ulicy.

Siostra sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła butelkę zieleniaka. Taszycki otworzył ją i nalał jej i sobie.

– To jużś skończył kurs oficerski? – zagaiła siostra, lecz wzrok Eliasza spoczął na niedomkniętym kufrze, w którym buszowały czapa i szal.

– Z nimi tak zawsze – Eufrozyna śmiechem usiłowała pokryć zakłopotanie. Energicznie podniosła się i z hukiem zatrzęsnęła mebel. Nareszcie zrobiło się cicho.

– Eee... tak – Taszycki powrócił myślami do pytania – jużem ukończył. Ale do pludrów nijak przywyknąć nie mogę – wskazał na swe krótkie obszerne spodnie, tak odmienne od polskich długich i obcisłych spodni. – Już bym wolał nosić workowate hajdawery jak Kozak – śmiał się żołnierz.

– A jak tam w Rzeczypospolitej? Podnosi się po wyparciu ze swych granic Szweda i Moskwy?

– Nie siostrzyczko – Eliasz spuścił wzrok – nowa wojna się szykuje.

Eufrozyna ujęła rękę brata.

– I Jakub Paleolog i sam Faust Socyn wierzyli, że w imię słusznej sprawy należy sięgnąć za broń. Dzisiaj trudno pozostać wiernym ideałom Grzegorza Pawła z Brzezin czy Ludwika Wolzogeny i ich śnie o pięknym świecie bez wojen.

– W samoś sedno uderzyła – Eliasz uśmiechnął się słabo – o tę słusność mam niespokojność wielką.

Wyciągnął z kieszeni złożony na czworo papier. Eufrozyna, choć nie miała nic wspólnego z wojskowością, domyśliła się, że jest to list przypowiedni na zaciąg regimentu piechoty cudzoziemskiego autoramentu. To jednak niewiele jej wyjaśniało. Dokument jak dokument.

– Nie na wojnę z Moskwą – wyjaśnił brat.

– To przeciw komu, jak nie Moskwie? – zdumiała się Eufrozyna.

– Przeciw królowi. Szykuje się wojna Lubomirskiego z Janem Kazimierzem. Pan marszałek rzekł, że jeśli arianie staną za nim, wystara się o unieważnienie wyroku banicji. Stanisław Lubieniecki śle listy do braci polskich w kraju i za granicą, by poparli Lubomirskiego. A sama wiesz, ile jego imię znaczy.

– Wróciłibyśmy do domu? – zamyśliła się Eufrozyna. – Pewien jesteś, że Lubomirski słowa dotrzyma?

– Nie wiem. Ale zbytniego wyboru nie mamy. Kto jak nie Lubomirski może nas pod swą pieczę jeszcze w kraju wziąć? Bogusław Radziwiłł daje pomocną dłoń arianom, ale ino w Prusiech. Nawet Stefan Niemirycz i Zbigniew Morsztyn mogą nań liczyć, chociaż obaj w wojnę ze Szwedem prali żołnierzy Carolusa i radziwiłłowskich stronników od lewej do prawej. Hetman Koniecpolski i książę Krzysztof Radziwiłł pomarli, gdyśmy jeszcze w kołyskach leżeli. Książę Janusz też na tamtym świecie. Lubomirski ostatni, który może nas wziąć pod swe skrzydła. Bracia Potoccy pod jego komendą dobywali uciśnionego od Szwedów Krakowa. Stanisław i Zbigniew Morsztynowie to samo. Na pewno go poprą.

– Ale oni nie osiedlili się tu, w księstwach – zauważyła Eufrozyna – a para królewska zezwoliła nam, arianom, na mieszkanie tu po wydanym na nas wyroku banicji. I oni spostrzegli się o niesprawiedliwości wyroku sejmku.

– Moglibyśmy wrócić do domu, bez wyrzekania się swobody myśli.

– Braciszku... – głos dziewczyny załamał się – ale ja nie chcę wracać do Korony. Jużem przywykła do Raciborza. Nie dość ci, że Śląsk niezmiennie ciąży ku Rzeczypospolitej i prawie że swobodnie granice przekraczasz? Królowa zapewniła nam tu swobodę wyznania. Wokół słyszę ojczysty język, na przekór cesarskim poczynaniom niemczenia tej ziemi. I mogę spać bez strachu, że mi jaki zły sąsiad dom zajędzie. Odkąd tu jestem, nikt mnie na ulicy nie zwymyślał od lutrów, a ilem razy to słyszała, nimeśmy opuścili Koronę. Tu nawet jezuita nie spojrzy na mnie krzywym okiem, bo każdy arianin osiedlon czy w Opolu, czy w Raciborzu ma za sobą królewską potencję.

– O, dobrze żeś sprawę jezuitów poruszyła – Eliaszklasnął w dłonie – bo jak habsburskie tu się zaczną rządy, to byle jezuita ci w twarz napluje.

– Być to nie może – Eufrozyna patrzyła na brata okrągłymi z przerażenia oczami – królowa zapisała Opole i Racibórz swej siostrzenicy, księżniczce Annie Bawarskiej. Jej mężem jest książę Henryk d'Enghien. Płynie w nim krew burbońska. Ludwik XIV nie dopuści, by

Wiedeń położył łapę na Opolu i Raciborzu. To zbyt ważny bastion wpływów francuskich w tej części Europy. A mając w swym ręku oba księstwa, łatwiej będzie Henrykowi zostać królem, tak jak chcą tego Jan Kazimierz i Ludwika Maria.

– Droga siostrzyczko – westchnął Elias – księżę d’Enghien nie może objąć księstw w posiadanie.

– Dlaczego?

– Chodzi o testament Karola Ferdynanda Wazy. Królowa dała go jezuitom na przechowanie i nie ma go. Ukryli, albo spalili. Sfałszowali pismo królewskiego brata. Twierdzą, że oddaje on te ziemie Austrii. Nikt w to nie uwierzy, ale cesarzowi wystarczy, by mieć pretensje do Opoła i Raciborza.

– Zdrajcy – wyszlochała Eufrozyna – nie dość im, że z Korony nas wygnali, chociaż nikomu nic złego nie czynili, teraz wypędzą nas znowu.

Elias utulił siostrę i pocałował ją w czoło.

– Nie martw się – szepnął – świat jest duży. Ilu naszych współbraci jest za granicą? No, sama powiedz. W Prusiech, Siedmiogrodzie, Niderlandach... I tacy są, co ruszyli za Atlantyk do brytyjskich kolonii na północy Ameryki. Sami nie będziemy.

Zerknął na leżący na biurku traktat pisany przez Eufrozynę.

– O, widzisz. W Siedmiogrodzie antytrynitarze są na równych prawach z katolikami, kalwinistami i luteranami. Tam mogłabyś wydać swoje dzieło. O czym piszesz?

– O Marcinie Czechowicu – Eufrozyna już nieco się uspokoila – o jego szacunku do istot żywych. Czy jeśli człowiek przestanie krzywdzić zwierzęta, można będzie zbudować Jeruzalem na ziemi?

– A cóż na takie dywagacje twoja garderoba? – w głosie brata czuć było wyraźną ironię.

– Zapytaj ją sam – roześmiała się dziewczyna. Podeszła do kufra i uchyliła wieko. Wskoczyła najpierw rysica, a za nią srebrny lis najwyraźniej już pogodzeni. Rysica wskoczyła swojej pani na ramiona, a potem ułożyła się na jej głowie. Lis wdrapał się po sukni i owinał się wokół szyi Eufrozyny. Wzięła swój rękopis i była gotowa do drogi.

Racibórz ich żegnał. Eufrozyna nie wiedziała czy na zawsze, czy może jednak Henryk d’Enghien i Anna Bawarska zdolają zostać spadkobiercami Księstw Opolskiego i

Raciborskiego. Może para królewska nie pozwoli, by z powodu jezuickiej chciwości upadły wpływy Rzeczypospolitej w Raciborzu. A nawet jeśli upadną, to i tak Racibórz zachowa swą polskość w języku i kulturze. Wiedziała na pewno, że to miasto zostawiło swoją część w jej sercu. I nie pozwoli, by ten okruch Raciborza stopniał jak sopel lodu w marcu. Będzie o niego dbać tak, jak o swoje zwierzęta. Pogładziła trzema palcami lisa i rysiczkę. Brat otarł jej łzy.

Maciej Henryk Modzelewski